

Krzysztof Pawłowski



ZAMIR, PORUCZNIK KOZACKI

VOL.2

ZAMIR, PORUCZNIK KOZACKI



TEKST DRUGI:

DŁUŻNIK, DŁUG I KWESTIA HONORU

Autor: Krzysztof „Vitalius” Pawłowski

Projekt i wykonanie okładki: Adrian „KAMAEŁ” Sażański

- Szeffie! Nie sądzę, aby stamtąd wyszedł. Czekamy tutaj już godzinę! Zimno mi w podkowsy!

Wypowiedział te słowa czarny i masywny ogier, niecierpliwie przechylając głowę na lewo i prawo. Na nim zaś siedział mężczyzna o czarnych włosach i długich, tak samo czarnych wąsach. Była sroga zima, a z budynku burdelu przed nimi, dobiegały pijackie wrzaski zabawy i dźwięki jakiegoś grajka, płasającego na mandolinie.

- Napiłbym się czegoś szefie. Może jednak wejdiesz, tam załatwisz, co trzeba i przy okazji przyniesiesz trochę bimbrow dla swego zmęczonego wierzchowca?

Mężczyzna ubrany w ciężką, czarną kurtę wojskową wypełnioną puchem, poprawił się w siodle. Jego niebieskie i wilcze oczy wpatrywały się w wejście do przybytku uciech i rozkoszy. Milczał. Zresztą już dawno przyzwyczaił się do tego, że nie musiał dużo mówić. Wystarczy, że jego ogier Bandyta gadał prawie cały czas, no, chyba że kazał mu milczeć albo gdy tamten był na kacu. Tak! Jego czarny rumak chlał mocny alkohol i był wręcz od niego uzależniony. Ale co zrobić? Każdy ma przecież wady.

- Szeffie? A gdybym tak podjechał pod okno z boku, włożył pysk do środka i krzyknął, że burdel się pali? Może wtedy facet by szybciej wyszedł?

Zamir cmoknął cicho ustami, bo na pierwszy rzut oka pomysł był nawet niezły. Jednak po dłuższym zastanowieniu miał swoją jedną wielką wadę. Burdel miał jedno wejście więc w czasie chaosu, który niechybnie powstanie, zostanie ono wypełnione i trudno będzie dostrzec tę kanię. Za długo szukał informacji o miejscu pobytu kanciarza, aby teraz dawać mu szansę na ucieczkę. To nie wchodziło w grę, dlatego porucznik kozacki nie odpowiedział, tylko jeszcze mocniej skupił się na drewnianych dwuskrzydłowych drzwiach.

- No, a gdyby tak wejść i zawołać go po imieniu? A jak gdyby kto się zapytał, po co szef go szuka, to powiedziałby szef, że wisi mu złoto i chce je oddać. Tak, tak! Wiem, że to on szefowi wisi, ale wtedy na pewno by kto zaprowadził szefa do niego! Dobrze co?

Jakby na potwierdzenie swoich racji Bandyta wesoło parsknął i przemielił ziemię przednimi kopytami. Niewątpliwie był zadowolony z pomysłu, na jaki wpadł! Zresztą była to już trzecia dobra myśl w ciągu tej godziny. Pierwsza była o bimbrow, potem o płonący burdel, a teraz to! Dzisiaj to był jego dzień! Czuł się wyjątkowo mądry! Nawet w taki ziąb!

Jednak innego zdania był Zamir. Najpierw jego prawa dłoń niespokojnie dotknęła główki swej kawaleryjskiej szabli, potem oparła się o przedni łęk, a lewa zaś zakręciła czarnym sumiastym wąsem.

Trzy miesiące temu pożyczył temu gnojowi niemałą sakiewkę złotych. Będzie jakieś pięćdziesiąt monet! A dzisiaj? Siedział jak ten cep na Bandyce i omijając wzrokiem płatki spadającego śniegu, czekał. Przecież, zamiast tego mógł właśnie pić i wypatrywać wiosny razem ze swymi braćmi z Taboru. Niech tylko ten oszust wyjdzie! Będzie miał do wyboru, albo złoto, albo zęby. Znaczą albo złoto Zamira, albo swoje zęby dla ścisłości.

Jednak los jak zwykle postanowił nieco zakpić z kozaka. Bo po kilkunastu kolejnych minutach drzwi od burdelu otworzyły się energicznie, a w nich ukazały się trzy postaci. Dwóch z nich stało o własnych siłach, trzymając pod pachami trzecią.

Zamir poruszył się niespokojnie w siodle, a jego oczy zabłyśły w ciemnościach gdy nagie, jak do tej pory bezwiednie zwisające ciało, poleciało na zaśnieżoną ulicę. Chwilę po tym mężczyźni ze śmiechem na ustach, zniknęli z powrotem w budynku.

- Szeffie. Chyba mam złe przeczucie.

Pierwszy odezwał się Bandyta, patrząc na nieruchome fragmenty ciała wystające ze śniegu.

- Co ty nie powiesz...

Skwitował kozak, zeskakując ze swego rumaka. Poprawiwszy przy pasie szablę i pistolet skałkowy, bardzo powoli podszedł do czegoś, co trochę przypominało mężczyznę, który wisił mu pieniądze. Najpierw kopnął w rękę, która niezdrowo wystawała ze śniegu. Zero reakcji. Potem wyciągnął szablę, nabrał na jej czubek małą ilość białego puchu i przyłożył do ust pechowca.

- Pobity na śmierć. Najpierw połamali mu ręce, potem obili mu klatkę piersiową. Pewnie wylew wewnętrzny. Być może połamane żebro przebiło mu serce.

Odezwał się po chwili spokojnym, lecz trochę poirytowanym tonem, dowódca kozaków. Za kilka godzin ktoś uprzątnie to ciało. To nie pierwszy raz gdy w tym mieście tak pozbyto się człowieka, którzy wisił komuś złoto. Oczywiście były też ciała zamrożonych żebraków, które też zostawały usunięte po jakimś czasie. Tak do końca nie wiadomo, kto te ciała zabierał. Mówi się, że straż miejska informuje pobliskiego grabarza o zaistniałym fakcie. Jednak problem był taki, że mistrz pochówku ma około sześćdziesięciu lat i żadnego pomocnika. Więc trudno tutaj uwierzyć, żeby był w stanie taszczyć petenta przez śniegi, na takie odległości. Oczywiście jest jeszcze inna teoria...

- To, co teraz szefie? Wracamy? Na pewno bracia nie wypili jeszcze wszystkiego i coś dla nas...

- Nie.

- Nie? Przecież to trup! Co on może... - Tutaj czarny ogier zarżał niespokojnie, zmiotł śnieg przednimi kopytami i dokończył z nutką strachu w głosie. - ... chyba Szef nie chce tego zrobić? Przecież to tylko złoto! Nie warto!

- Pożyczył ktoś od ciebie kiedyś złoto i nie oddał!? – Kozak zapytał się swojego ogiera, kucając przy trupie i sprawdzając szablą jego zęby, gardło i język.

- No nie.

- No właśnie! A jak rozejdzie się w świat, że można bezkarnie pożyczać od kozackiego porucznika Zamira pieniądze, a potem nie oddawać! To kto potraktuje mnie na poważnie w innych sprawach?

- Szefie, ale ten człowiek nie żyje!

- Słaba wymówka.

Odpowiedział Zamir i zaczął podnosić zwłoki do góry. Jednak w tym samym momencie zza budynków mieszkalnych wyłonił się patrol straży miejskiej, w liczbie trzech żołnierzy. Szli w trójkącie, gdzie ten na przodzie był pewnie dowódcą patrolu.

-... psssst Szefie!

Bandyta próbował zawczasu ostrzec swojego właściciela, jednak nie zdołał. W momencie gdy nagi denat znalazł się na lewy boku kozaka, w jego stronę padły słowa mężczyzny w kolczudze i z mieczem w dłoni.

- Hej Ty! Co ty robisz?

- Ja?...- Odparł zaskoczony kozak, odwracając się w stronę głosu. Przed nim stało trzech rośliwych mężczyzn, uzbrojonych po zęby i stanowiących prawo w tym mieście. Jednak nie stracił zimnej krwi, bo poprawiając umarlaka, dodał. -... nic konkretnego.

- Jak to nic? Kim jest ten nagi mężczyzna, którego masz na ramieniu?

Bandyta odwrócił się zadem do całej akcji. Nie chciał tego widzieć, bo jeszcze zacznie się śmiać albo coś głupiego powie. Wolał nie patrzeć. Za to Zamir kontynuował rozmowę. Musiał z tego wyjść i to nie sam, bo inaczej przepadnie jego reputacja oraz złoto.

- To mój kolega. Trochę przesadził w burdelu i teraz muszę odwiedzić go do domu.

Szeregowy strażnik po lewej stronie dowódcy dodał szybko.

- Przecież widać, że chłop cały obity i pewnikiem nie żyje, bo nawet klatka piersiowa mu się nie podnosi.

Kozak przeklnął w duchu i odpowiedział, tym razem wolniej i z większą pewnością w głosie.

- Przecież właśnie mówię, że przesadził w burdelu, to go tam skatowali i martwego na śnieg wyrzucili. Zawiozę biedaka do domu i tam go pochowam. A mówiłem mu tyle razy, że za tą niewyparzoną głębę kiedyś zdechnie.

Dowódca patrolu przymrużył oczy i zapytał.

- A gdzie macie go zamiar pochować?

Kurwa, jebany służbista mi się trafił. Pomyślał kozak, poprawiając zmarłego złodzieja na swym barku i odpowiedział, starając się nadal zachowywać spokój.

- Najpierw do taboru pojedziemy, tam jest jego przybrana matka Mazalia. Pewnie będzie chciała się z biedakiem pożegnać. Potem z kolei zrobimy „kozackie pożegnanie”, a nad ranem zawieziemy go na cmentarz miejski.

- Czyli za pochówek zapłacicie?

- Tak, oczywiście! Ale najpierw pożegnanie i kozacza stypa!

- Dobrze. Możecie go zabrać. Ale jutro dopytam się Alfreda, czy go na cmentarzu pochowaliście! Rozumiesz? Bo jak nie...

- Tak tak! Oczywiście! O dwunastej w południe mój przyjaciel będzie spokojnie leżał w swojej kwaterze!

Po tych słowach patrol poszedł dalej, a wkurwiony porucznik kozacki przerzucił denata przez zad Bandyty, na co on trochę niżony głosem.

- Szefie... ale on mnie swoim siurem dotyka...

- Weź, mnie teraz lepiej nie wkurwaj.

Chwilę przed północą porucznik kozacki, jego ogier Bandyta oraz martwy dłużnik dojechali do Taboru. Przy wjeździe, wyraźnym skinieniem głowy przywitało ich dwóch najemników. Ludzie Zamira niepełniący akurat służby ani żadnych innych ważnych obozowych zajęć chlali w najlepsze pod otwartym namiotem. Wszędzie czuć było przyjemną i miłą atmosferę, niestety ten fakt nie odbijał się na twarzy dowódcy. Był nie lada poirytowany, gdyż musiał poprosić swoją szeptuchę o pomoc, a ta miała prawo się nie tylko nie zgodzić, ale jeszcze stawiać żądania. Tak już było w taborach kozackich, że te kobiety miały często większą władzę niż sami dowódcy.

Bandyta z zadowoleniem i ulgą zatrzymał się przed najbardziej kolorowym z wozów w Taborze. Był to wóz szeptuchy, która nosiła imię Mazalia i na pewno nie spała. Kozak miał czasem wrażenie, że ta stara kobieta nigdy nie śpi. Jak złoto. Bo wiadome jest, że złoto nigdy nie śpi, a Mazalia to była wyjątkowa kobieta.

Zamir zeskoczył z rumaka i zdjawszy denata z jego zadu, położył go przy drewnianych schodkach tęczowego wozu. Przeciągnął się, wykonał kilka głębszych oddechów i podszedł pod drewniane drzwi, na których wymalowane było piękne, wielkie i kolorowe drzewo. Podniósł prawą dłoń do góry i gdy właśnie miał zapukać, usłyszał.

- Wchodzi! Nie puka! Co ja cnotliwa panna, przy której trzeba czekać, aż zawoła i wpuści!?

Kozak nawet nic nie pomyślał, a chciał, ale się bał. Bo chodziły też słuchy, że Mazalia w myślach czytać potrafi, więc i tego się ludzie przy niej wystrzegali. Otworzył więc drzwi i wszedł do środka. Jego oczom ukazał się widok pełen stoików, roślin, wielu palących się świec oraz dużej ilości książek i papirusów. Do tego porozwieszane tu i ówdzie jakieś dziwne znaki z patyków i sznurków. W powietrzu unosił się zawsze dziwny zapach kadzidła. Nawet teraz, po tylu latach Zamir nie mógł porównać tego zapachu, do czegokolwiek innego co znał.

Przed nim stała kobieta w mocno zaawansowanym wieku, lecz jeszcze nie stara, ja sama miała w zwyczaju o sobie mówić. Była ubrana w kolorowe szaty i spódnice, tak samo jaskrawe jak jej wóz. Na głowie miała kaskadę siwych włosów, zakrytych czerwono-żółtą chustą. Jej twarz mogła zmylić, bo na pierwszy rzut była przeważnie miła i pogodna, jednak gdy się odezwała, całe „babcine ciepło” ulatywało gdzieś w nieboskłon.

- Czego kozak chce?

Zapytała od razu Mazalia, szeptucha IV taboru kozaków Wiedeńskich, trzymając w prawej ręce truchło kury bez głowy, a w lewej zakrwawiony nóż.

- Kochana moja! Najdroższa sercu... - Zaczął, tak jak zwykle miał w zwyczaju zaczynać rozmowy z tą kobietą. -... mam do ciebie wielką prośbę! Trochę się sprawy u mnie pokomplikowały, z takim jednym człowiekiem co mi złoto wisiął i niestety, ale z nieukrywaną przyjemnością chcę prosić Cię, moja droga, o pomoc!

- To już wiem i bez twojego lizodupstwa! Do rzeczy! Nie widzi, że zajęta?

- No właśnie widzę ten, no! Klątwe, jaką moja piękna na kogo rzucasz?

- Nie, głupi! Rosół dla tych moczy mord na rano robię! Czy cokolwiek by nie robiła, musi to być od razu jakaś klątwa, czar zły, urok czy inne moce straszliwe? Aż tak mnie, źle ocenia? Że może ziółka na uspokojenie dla samego diabła zaparza gdy kto nie patrzy?

Kozak nadal starał się nic nie myśleć, a to jak o niej myślał gdy był kilka kilometrów od jej wozu, niech lepiej będzie pogrzebane i zapomniane.

- Kochana! Ja tylko samo dobro widzę w tobie!

- Szczęście kozaka... . Mówi więc! Do rzeczy!

- Mężczyzna wisi mi pokątną sakiewkę złota, lecz jest martwy od kilku godzin... - Mazalia usiadła na drewnianej ławie i zaczęła obierać bezgłową kurę, słuchając uważnie porucznika kozackiego, ani razu nie przerywając. -... dlatego chciałbym kochana, abyś go na chwilę z tego snu obudziła, żebym mógł z nim kilka słów wymienić.

- Ile godzin martwy?

- Bo ja wiem. Tam chwilę czekaliśmy, potem dojazd tutaj. Tak obstawiam, że będzie z dwie, może trzy.

- Tak. To jeszcze można, ... bez większego problemu. Dusza nie zdążyła spaść za głęboko. Tak...

Starowinka poczęła do siebie gadać przez dłuższą chwilę, obierając prawe skrzydło kury. Kozak stał prawie na baczność i milcząc, czekał. Wiedział, że nie przeszkadza się Mazali, gdy ta myśli. To nie było rozsądne ani zdrowe. Razu jednego, kucharz obozowy coś od szeptuchy chciał i gdy ta obmyślała jak mu pomóc, to ten jej przerwał. Sranie miał takie przez następny tydzień, że jedzenie robili dwaj pomocnicy. Po tygodniu takich obstrukcji kucharz nie tylko ledwie stał przy garach, to jeszcze cały obóz był na niego zły. Gdyż w czasie jego nieobecności pomocnicy takie gówna do żarcia pichcili, że o mało reszta obozu się nie posrała. Tak potężna jest Mazalia.

- Dobrze. Już wszystko wiadomo. Przyniesie mi to ciało do wozu jak najszybciej...

- A może być teraz kochana?

- Co on zgłupiał? Trupa do wozów jak rosół jest robiony? Wszyscy na zgniliznę mają pomrzeć jutro?

- No tak...

Zamir opuścił głowę w geście pokory i skruchy.

- Za pół godziny przyjdzie z trupem... Aha! I przyniesie mi dziesięć złotych monet!

- Dobrze moja piękna!

Po tych słowach kozak wystrzelił z wozu Szeptuchy jak z procy! Najpierw ruszył do swego namiotu po złoto. Stara dużo chciała za swoje usługi, ale to nadal była mała cena za to co ta kobieta potrafiła zrobić. Potem wrócił pod drzwi babuleńki, usiadł na drewnianych schodkach koło trupa i począł czekać.

-... poda mi teraz jedną monetę.

- Proszę.

Odpowiedział porucznik i wykonał szybko to, o co poprosiła go szeptucha, stojąc nad rozłożonym na podłodze trupem. Nieboszczyk leżał na deskach wozu z rękoma ułożonymi wzdłuż tułowia, a pod jego plecami wyrysowany był przedziwny i wielkie krąg magiczny, z taką ilością wzorów, że ktoś mógłby pomyśleć, że są to jakieś nic nieznaczące bohomyzy.

Szeptucha wzięła monetę z rąk niebieskookiego mężczyzny i włożyła ją do ust dłużnika.

- Teraz pod mi te kurze łapki...

Trochę zdziwiony dowódca taboru podał babuszce kurze łapki z miski leżącej koło niego. Ile wynosiła szansa, że części kury z rosółu mogły akurat teraz być potrzebne do wskrzeszenia człowieka?

Mazalia zaczęła wymawiać bardzo dziwną litanię zdań w przerażającym i bardzo dziwnym języku. Chwilę później wszystkie świece w wozie zgasły, ta krzyknęła i rzuciła w twarz trupa obiema łapkami. Przez plecy kozaka przeszedł dreszcz. Poczuł, jakby przez chwilę w wozie zrobiło się naprawdę zimno. Miał też wrażenie, że między nimi, w tym ciemnościach oświetlanych jedynie słabymi promykami księżyca, wpadającymi przez zasłonięte szmatą okno, jest ktoś jeszcze.

Kozak nagle dostrzegł, jak trup połknął monetę i otworzył oczy. Szeptucha stała jak kamienny posąg z wyciągnięty w górę rękami. Nawet nie drgnęła, nawet nie jęknęła. Jęczał i charczał za to nieboszczyk, który znów musiał przypominać sobie, jak działają struny głosowe i język. Zamir w końcu rzekł do dłużnika.

- Gadaj byle szybko, gdzie ukryłeś resztę swojego złota! Wiem, że nie wydałeś wszystkiego i że tak naprawdę miałeś jeszcze sporo, bo handel z tamtymi ludźmi jednak Ci się udał! Gadaj!

Głowa trupa powoli obróciła się w kierunku czarnowłosego. Chwilę później odezwał się głos, jakby z oddali, jakby przepełniony bólem, cierpieniem, ale też z wielką irytacją?

- Neeee... nieeee nooo! Kurrwaaaa...! Tyylkkko poootooo mnie ściągaaaaasz chaaamieeee! Neeee wiiiidziiszzz, zeee martwy jeeestem! A Toobiee tylko złoootoo w głowiee!?

- Przestań pierdolić, bo moja kochana Mazalia zrobić Ci z duszy efekt trafienia katiuszem, za nim pozwoli odejść w spokoju do piekła, do którego zapewne trafiłeś! Gadaj, gdzie ukryłeś resztę swojego złota!

Zamir miał gdzieś co ten trup miał do powiedzenia, oprócz oczywiście lokalizacji złota.

- Czzyyyy tyyy jesteeś, aaaż taaaak okruuuutny?

- Przestań pieprzyć! Gdzie jest złoto?! Mów, albo poznasz wyżyny mojego okrucieństwa!

Ciało leżało sztywne, lecz głos nadal wydobywał się z niego niczym ze studni.

- Mojaaaa chaaaataaa ... koooomiiiiinnn, oddd dooootuuu... śpieeeesz się... Śpieeeesz się chameeee...

Po tych słowach zapaliły się świece, a szeptucha opuściła ręce. Wszystko w ciągu kilka sekund wróciło do normy. Kozak oparł się o ścianę chaty i zakręcił prawym grubym czarnym wąsem. Chwilę później Mazalia rzekła.

- Wszystko? To już idzie! Bo muszę posprzątać pióra po kurze.

- A właśnie! Jak rosół piękna? Dla mnie też co ostanie?

- Nie wyszedł. Idzie już.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo i bez zbędnego słowa opuścił wóz szeptuchy. Nie chciał tracić czasu, bo nie bez powodu zmarły kazał mu się śpieszyć. A żeby tego było mało, kozak miał wrażenie, że po ostatni słowie, trup jakby się zaśmiał. Coś było nie tak.

Jakiś czas później jechał już w ciemnościach nocy, razem z dwójką swoich ludzi, w kierunku starej chaty dłużnika.

Gdy przedarli się przez ostatnie jabłonie małego sadu owocowego, zauważyli drewniane domostwo, którego najlepsze dni już dawno minęły. Okna poniszczone, dach w kilku miejscach posiadał spore dziury, a drewniane ściany wyglądały tak, jakby zaraz miały się rozpaść niczym domek z kart. Jednak nie to kazało zatrzymać się jeźdźcom. Przed drzwiami stał mężczyzna z pochodnią w dłoniach i gdy tylko zauważył trzech konnych, od razu krzyknął do środka...

- Eee! Mamy gości!

Razem z Zamirem jechał brat Lorcan, jego prawa ręka. Wielki i masywny mężczyzna o łysej głowie i ponurym spojrzeniu. Mało gadatliwy. Przy prawym jego boku wisiała spokojnie i cicho solidna dębowa pała z wyraźnymi kozackimi runami. Przyboczny porucznika kozackiego rzadko walczył bronią stalową. Podobno robił to dlatego, aby była większa szansa na wzięcie do niewoli nieprzytomnego nieszczęśnika. Wiadomo, gdy przez czerep dostanie się szablą, to śmierć chyżo nadejdzie, a co innego gdy otrzyma się mocne uderzenie drewnianą pałą.

Drugim towarzyszem był brat Cathal, co ubrany był w długi brązowy płaszcz, a za pasem posadzone siedziały dwa pistolety skałkowe. Strzelec niedościgniony. Człowiek z sokolim okiem i szybką ręką. Złodziej, porywacz i zabójca. Z jego twarzy nigdy nie schodził uśmiech podobny do reakcji na kiepski żart opowiedziany nie w porę, na temat który nie powinien zostać poruszony w danym towarzystwie.

Po zawołaniu pierwszego postawnego draba, co ewidentnie dwóch górnych zębów nie miał, wyszło z domostwa kolejnych trzech oprychów. Każdy był podobny do solidnej szafy na ubrania. Wszyscy przyodziani w luźne koszule i lekkie skórzane kamizele z ćwiekami. Każdy z nich trzymał w rękach drewnianą solidną pałą. Jednak to nie był koniec drużyny z burdelu, bo kilka uderzeń serca później na ich czoło wysunęła się z budynku kobieta o rudych włosach i spojrzeniu dziki oraz nieustępliwym. Była ubrana podobnie jak pozostali, z tą tylko różnicą, iż na nogach nie miała prostych buciorów, a wysokie skórzane obuwie jeździeckie. No i jeszcze miast drewnianej pałki przy pasie, wisiał krótki miecz.

- Nie wiem kim żeście, ale lepiej dla was jeżeli w tej chwili zawrócicie...

Zawołała z energią i pewnością w głosie. Widać było, że nie pierwszy raz przewodzi ludziom i na pewno nie jest to jej pierwsze takie spotkanie.

Zamir w żadnym wypadku nie zamierzał odpuścić. Zeskoczył z konia, a wraz z nim uczynili to jego ludzie. Nie wyciągnąwszy szabli, zaczął podchodzić do bandy pewnym krokiem. Stanęli dopiero na odległości dziesięciu, może piętnastu kroków od rudej i jej obstawy. Wciągnął do płuc świeże, mroźne powietrze i z lekką nutką radości w głosie, tak rzekł.

- Obawiam się, że i ja muszę prosić was o to samo.

Dziewczyna zaśmiała się głośno, mówiąc.

- W taki razie mamy impas wąsaty nieznajomy.

- Na to wychodzi.

Bracia Zamira stali jeden krok za plecami kozaka, po obu jego stronach. Też nie mieli dobytej broni.

- Biorąc pod uwagę godzinę... - Znów zaczęła mówić ruda herszt bandy z burdelu. -... zakładam, że przyjechaliście odebrać to co pożyczył od was ten kurwiarz i moczymorda. Tylko zastanawia mnie jedno. Skąd wiedzieliście, gdzie ukryte ma złoto i dlaczego akurat teraz po nie zajechaliście?

Kozak spojrzał się bystro na zgrabną rudą dziewczynę i odrzekł.

- Gdy ktoś pożyczy ode mnie złoto, to nawet gdyby umarł, odzyskam to co moje. To, można by rzec, jest kwestią honoru.

- Kwestią honoru powiadasz?...

Zaśmiała się dziewczyna i dodała uszczypliwie.

- ... a nie tego, żeś skąpy i dusigrosz?

Wąsy kozaka delikatnie drgnęły. Nie lubił chamstwa i niepotrzebnych zniewag, a zwłaszcza gdy były kierowane do niego, przy jego ludziach.

- W złym kierunku poczętaś iść rudzielcu. Sądziłem, że mam naprzeciw sobie kogoś na poziomie, a tutaj widzę, nie tylko z burdelu pochodzisz, ale i burdel masz w tej rudej głowce.

- Waż słowa kozaczy synu...

Odezwał się ponuro jeden z jej ludzi, nerwowo miętosząc w dłoni uchwyt drewnianej pałki.

- Zamknij mordę, gdy dowódcy rozmawiają. Łysa pało...

Tym razem odpowiedział Lorcan, mierząc zabójczym wzrokiem łysola ze szpetną mordą. Dowcip w tej odpowiedzi był taki, że przypomnieć warto, iż brat Lorcan też nie posiadał włosów. Tamten chciał coś odpyskować, ale ruda uciszyła go gestem podniesionej dłoni. Chwilę potem rzekła.

- Wygląda na to, że rozmiar twoich wąsów odpowiada też rozmiarom twoich jaj. Odważny jesteś, że szczekasz tak do ludzi z miasta, kozaku. A zastanowiłeś się, czy warto zadzierać z nami dla garści złotych monet?

- Nawet gdyby to była tylko jedna złota moneta. Dług to dług. A jeżeli chodzi o kwestię moich przemyśleń. Problemu nie będzie, gdy nie będzie nikogo, kto mógłby opowiedzieć o tym co tutaj zaszło.

Wilczy uśmiech pojawił się na twarzy porucznika, a ruda kobieta, przymrużywszy oczęta, tak odpowiedziała.

- Rozumiem, że to groźba?

- Raczej dobra rada od nieznajomego.

- A gdybym zaproponowała podział tego co znajdziemy? Powiedzmy, pół na pół?

Wąsy kozaka znów delikatnie drgnęły.

- Biorąc pod uwagę, że po tym starciu na pewno będzie trzeba kogo leczyć lub pochować, a to nie są tanie sprawy! To jestem w stanie zgodzić się na taką umowę.

- Czyli pół na pół?

- Tak, pół na pół.

- Dobra panowie, chowajcie pałki! Dzisiaj nikt nie będzie krwawił ani zdychał.

Rzekła do swych ludzi ruda i powoli ruszyła do kozaka. Ten uczynił to samo w jej kierunku. Chwilę później umowa została przypieczętowana uściskiem dłoni.

W momencie zawarcia umowy ich spojrzenia spotkały się na bardzo krótkim dystansie. Jej piwny wzrok zanurkował w jego błękicie. Zamir miał wrażenie, że coś zaiskrzyło. Jej dłoń nie była delikatna jak u większości niewiast. Czuł, że dziewczyna musiała przez wiele zim ćwiczyć walkę mieczem, który dzierżyła. Jego podświadomość poinformowała go, że stoi przed nim ostra cholera, a porucznik kozacki miał słabość do takich diabolic.

- ... a więc chodźcie do środka i zacznijmy poszukiwania!

Powiedziała już trochę delikatniej dziewczyna do wąsatego mężczyzny, puszczając jego dłoń. Ten odpowiedział również o wiele delikatniej niż wcześniej.

- Dobrze! Prowadź zatem do chałupy!

Oczywiście kozak nie był idiotą i brał pod uwagę, że może być to tylko bardzo sprytna technika zmniejszenia zasięgu między obiema grupami. Jednak był gotów zaryzykować. Przecież nie było nigdzie powiedziane, że ta ruda dziewczyna planuje tak zmyślną zasadzkę.

Chwilę później w sporym pomieszczeniu będącym jadalnią, stało osiem osób. Zamir i dziewczyna kucali przy kominie, gdy reszta chłopów stała praktycznie ramię w ramię niedaleko wejścia na korytarz. Było ciasno, ale nikt z obu grup nie chciał ustąpić pola w ewentualnym zagroźeniu przejścia. W powietrzu nadal czuć było napięcie, niczym stojące w miejscu duszne powietrze, chwilę przed burzą.

- To musi gdzieś tutaj być...

Kobieta mamrotała pod nosem, grzebiąc ręką w środku komina. Zamir zaś podsuwał kolejnej pomysły lokalizacji szukanych monet. Kilkanaście uderzeń serca później ruda dziewczyna wyjęła w końcu sporej wielkości skórzany mieszek. Oboje wstali z kolan. Rudy herszt czuł w dłoniach ciężar złota, gdy jej wzrok na kilka sekund przeciął się ze spojrzeniem kozaka. I właśnie w tym momencie porucznik krzyknął...

Pierwsi zareagowali czterej łysi mężczyźni, wyciągając praktycznie w jednym momencie pałki. Niestety, aby kogoś uderzyć, należy się wpierw zamachnąć, a Cathal nie musiał tego robić. Wyciągnął tylko pierwszy pistolet skałkowy i wystrzelił praktycznie z przyłożenia, w głowę jednego z goryli. Rozpędzona ołowiana kula wbiła się z mlaskiem w sam środek czoła, przelatując na wylot. Fragmenty czaszki i mózgu mięśniaka wyleciały z tyłu na jednego z jego kolegów, zresztą tak samo jak wystrzelona kula, jednak ta straciła już swój impet i trafiła w fragment drewnianej ściany po prawej stronie tysego mężczyzny. Opryskany krwią mięśniak zawył ze wściekłości i rzucił się na strzelca z uniesioną pałką. Zdążył solidnie uderzyć go w lewe ramię, gdy nagle, niczym wściekły goryl, Lorcan skoczył na mężczyznę i przewracając go własną masą ciała, chwycił go za głowę i począł uderzać nią o podłogę. Cathal cofnął się do tyłu, wyciągając kolejny pistolet gdy dwaj pozostali łysol, stojący trochę dalej od wyjścia, dobiegli do Lorcana i zaczęli okładać jego szerokie plecy serią silnych uderzeń pałkami.

Sekundę wcześniej porucznik kozacki dobywając szabli, uniknął pierwszego ciosu rudej kobiety, która była ewidentnie szybsza w wyciąganiu broni. Kozak musiał wykonać jeszcze dwa kolejne uniki, za nim w końcu jego szabla wylądowała w prawej dłoni. Od tego momentu walka wyglądała z boku na wyrównaną. Na przemienne parował i zadawał ciosy raz Zamir, a raz ruda kobieta. Walczyli przy tym w milczeniu. Nie wydawali z siebie praktycznie żadnych odgłosów. No, może po czasie ich oddechy stały się głębsze i pełniejsze ze zmęczenia. Prawda była taka, że w pierwszych chwilach tego starcia pojedynek był całkowicie wyrównany. Dopiero czas miał rozstrzygnąć te starcie.

Brat Cathal odrzucił na ziemię pierwszy pistolet i wyjął drugi, gdy dwaj mężczyźni napieprzali już gdzie popadnie całe ciało Lorcana. Ten zaś po całkowitym rozbiciu głowy przeciwnika zakrył swój czerep dłońmi i czekał na najlepszą okazję, aby uciec spod intensywnej katowni. Obaj napastnicy byli tak pochłonięci uderzaniem mężczyzny na ziemi, że nie zauważyli, jak bez żadnego problemu podszedł do nich strzelec i łapiąc jednego z nich za czoło od tyłu, przyłożył mu lufę pistoletu do szyi i wypalił. Krwawy wodospad z fragmentami kości kręgosłupa rozprysnął się na wszystkie strony.

To był ten moment gdy obity Lorcan rzucił się na nogi przeciwnika, który przez chwilę przestał go okładać, zaskoczonym tym, że jego kumpel właśnie przewracał się z luźno wiszącą głową na fragmentach szyi.

Silne ramiona mężczyzny pociągnęły nogi oprycha, a ten niczym wielki dąb zwałił się do tyłu, uderzając głową o podłogę. Kilka sekund później obity brat Lorcan wskoczył na niego i zaczął okładać jego twarz pięściami.

Cathal nie zamierzał nikomu przeszkadzać, podniósł z ziemi swój pierwszy pistolet i ładując go, wyszedł na zewnątrz wypatrywać kolejnego zagrożenia.

W tym samym momencie, z ciężkimi oddechami i z ewidentnie zmęczeniem na twarzy, ruda i kozak zadawali coraz wolniejsze i słabsze uderzenia. Ich odskoki i parowania stawały się z każdą chwilą mniej precyzyjne. Oboje wiedzieli, że jest tylko kwestią czasu, aż ktoś się śmiertelnie pomyli. Dlatego w pewnym momencie pierwszy zakrzyknął Zamir, gdy wykonywał kolejny raz parowanie na głowę.

- Zaniechaj ruda! Twoi... twoi ludzie nie żyją! Sama ostałaś! Zaniechaaaaj...!

- Nie jestem rudaa ty kozacza mordo! Jesteem Abella!

Z ciężkim oddechem odpowiedziała mu osamotniona wojowniczką. Kolejne odgłosy stali rozlały się po pomieszczeniu.

- No to Abellaa... Podziwiam, twój upór! Ale to już koniec!

- Nie sprzedam tak łatwo skór...

W tym momencie Zamir wykonał szybki pół okrąg szablą, trzymając na swym ostrzu ostrze krótkiego miecza przeciwniczki. Na końcu tego ruchu, czubkiem szabli podbił jej broń do góry, tym samym wybijając ją z jej rąk. Abella dysząc głośno, stała teraz z rozłożonymi rękoma, a oczy jej płonęły wielką nienawiścią. Porucznik kozacki łapiąc oddech, opuścił pióro szabli na podłogę i nie spuszczać wzroku z rudej dziewczyny, rzekł.

- To już koniec. Oddaj mieszek i rozejdźmy się, chociażby w tymczasowym pokoju. Co ty na to?

Przez długą chwilę kobieta o krwawych włosach zastanawiała się nad propozycją kozaka. Nie było tutaj dużo do myślenia, bo jej sytuacja była wręcz tragiczna. W tym samym momencie znad ciała jej człowieka podnosił się masywny mężczyzna z zakrwawionymi pięściami. Z twarzy denata nie zostało za dużo. Gdyby chłop przeżył, raczej targnąłby się na swoje życie niż by żył dalej z takim ryjem. Bliżej drzwi leżało jeszcze trzech jej ludzi. Wszyscy martwi i tak samo brutalnie zmasakrowani. W końcu opuściła ręce, wyjęła mieszek i rzuciwszy go w stronę Zamira powiedziała.

- Dla twojej wiedzy, to nie jest poddanie się. Jeżeli mnie puścisz, to na pewno kiedyś się zemszczę.

Kozak otworzył mieszek, wysypał ze środka połowę jego zawartości, tak na oko i wręczył ją Abelli, mówiąc.

- Rozumiem. Tutaj jest połowa złota, tak jak się umawialiśmy. - Na twarzy Zamira pojawił się lekki uśmiech, po czym dodał. - Jednak mimo wszystko mam nadzieję, że następnym razem w inny sposób będziemy się ścierać...

- Chyba cię pojebało kozaku...

Nie spodziewając się takiego przebiegu rozmowy, ruda zaśmiała się wbrew aktualnej sytuacji. Nie do końca rozumiała mechanizmów, jakie działały w tym człowieku. Ta jego zuchwałość i pokręcona potrzeba honoru, była... nawet pociągająca.

Chwilę później kozak odjechał w mroku, razem ze swoimi ludźmi, gdyż jeszcze tej nocy miał coś do zrobienia.

Słońce nieśmiało zaczęło zalewać bladym światłem obsypane śniegiem krzyże i nagrobki miejskiego cmentarza, gdy przy drewnianej chatce grabarza pojawił się wąsaty jeździec na czarnym jak noc ogierze.

- Szefie? A czemu nie w lesie?

- Już ci mówiłem dlaczego!? Dałem słowo, że chłopą pochowamy!

- Ale przecież ten strażnik już pewnie o tym wszystkim zapomniał!

- Nie robię tego dla niego, ani dla tego złodzieja. Robię to dla siebie!

- Znaczą, że co? Pochowasz chłopą w grobie, jak dzieci zostawiają pierwsze zęby pod posłaniem, czekając na coś dobrego w zamian?

- Cholera, Bandyto! Chodzi o dane komuś słowo. Jeżeli chociaż raz nie zrobię czegoś co obiecałem zrobić, wtedy będę czynić to częściej, a w konsekwencji stanę się zwykłym przestępcą, a nie kozakiem.

- Szeffie! Bez urazy, ale my już i tak często ocieramy się o prawo i to z tej drugiej strony!
- Powiem tak. Nie oczekuje, że to zrozumiesz, bo jesteś tylko koniem...
- To zabolęło szefie...

Bandyta parsknął wesoło, na co Zamir kontynuował, puszczając mimo uszu jego uwagę.

- ... ale są sprawy w życiu ludzkim, których trzeba się trzymać całe życie, bo inaczej...

W tym momencie z drewnianej chatki wyszedł zaspany mężczyzna ubrany w czarne i długie szaty, w dość konkretnym wieku. Przeciągając się beztrudno i przecierając zaspane oczy, stwierdził zdziwiony.

- Co tutaj się dzieje? Od kiedy uświęcony teren cmentarza to miejsce do fizjologicznych pogaduszek?

Kozak zeskoczył z konia i ukłoniwszy się kulturalnie, odpowiedział.

- Filozoficznych pogaduszek drogi grabarzu.

- Co?

- Nie ważne. Mam tutaj duszyczkę do pogrzebania. Straż miejsca kazała mi się z nią zgłosić do pana.

- Kolejna ofiara ulicy?

- Można tak rzec. To jak będzie? Ile za pochówek?

- Jako że mnie obudziliście Panie i to z bardzo wesołego snu... - Tutaj stary grabarz ostentacyjnie podrapał się po narządach męskich. - ... trzeba będzie po kapłana, potem jakieś płaczki wynająć. Ma on jaką rodzinę?

- Nie.

- To będzie pięć złotych monet. Oczywiście bez trumny, bo z trumną dodatkowe dwie.

- Nie da się taniej?

- Da się, ale wtedy sam drogi Pan wykopie nieboszczykowi dół.

- Niech będzie. Z trumną i to pan kopie.

Po dobiegu targu i pozostawieniu denata specjaliście kozak ruszył w drogę powrotną do obozu. Oczywiście w czasie podróży psioczył na wysoką cenę pochówku, bo w ostatecznym rozrachunku pozostało mu jedynie sześć monet z długu nieboszczyka. Skąd taka kwota? Zrozumiał to dopiero gdy płacił grabarzowi. Niestety Abelli oddał nie dwadzieścia pięć, a aż dwadzieścia siedem monet. No i jeszcze Mazalia wzięła od niego dziesięć.

Godzinę później, w połowie drogi Bandyta w końcu nie wytrzymał i parsknąwszy wesoło, stwierdził do swego dowódcy.

- A mówiłem, że lepiej do lasu...

- Jedź i się zamknij.

- ... las jest za darmo szefie. Las jest za darmo.